

Opublikowana w 1995 (w tym samym, co „Czas pogardy”) roku książeczka Andrzeja Sapkowskiego „Świat Króla Artura. Maladie” należy do mniej znanych w dorobku tego autora, zdecydowanie najpopularniejszego i najważniejszego (co niekoniecznie znaczy „najwybitniejszego”) autora polskiej literatury fantasy. Jest przy tym dosyć nietypowa, zarówno w treści, jak i formie. Większą część zbioru zajmuje bowiem esej poświęcony narodzinom, rozwojowi, a także wpływowi na współczesną kulturę mitu arturiańskiego; mniejszą natomiast opowiadanie „Maladie”, będące swego rodzaju wariacją na temat „Dziejów Tristana i Izoldy” Bediera.

Na początku „Świata Króla Artura” Sapkowski daje wyraźnie do zrozumienia, że nie jest to tekst naukowy, ani nawet o naukowość się nie ocierający - i cóż, po lekturze pozostaje tylko się z nim zgodzić. Rzecz jest bowiem napisana swobodnie i luźno, czasami wręcz w relacjonowaniu przytaczanych hojnie anegdot i zabawnych szczegółów ociera się o granice dobrego smaku. Trzeba jednak przyznać, że merytorycznie trudno coś Sapkowskiemu zarzucić – zwłaszcza pierwsze rozdziały są bogate w informacje na temat antycznej i wczesnośredniowiecznej historii Wysp Brytyjskich, zawilej walijskiej i irlandzkiej mitologii i kolejnych etapach formowania się mitu o Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu, uwieńczonych stworzeniem przez Thomasa Malorego „La Mort D'Arthur”. Wszystko to podane jest ze swadą rasowego gawędziarza – którym przecież Sapkowski bez wątpienia jest – w formie lekkiej i przystępnej nawet dla czytelnika nie posiadającego właściwie żadnej wiedzy historycznej i religioznawczej. Choć ta ostatnia niewątpliwie się przyda.

Ale jak już wspomniałem, czasami jest tego dobrego za dużo, autor w swoim gawędziarstwie jakby się zapędza, pisząc a to o „wbijaniu pręta w tyłek”, a to dając upust antyklerykalizmowi. Z czasem też zwarty wywód przeradza się w coś w rodzaju leksykonu bohaterów i miejsc, w którym rozważania nad genezą i funkcją postaci ustępuje niekiedy miejsca relacjonowaniu ucieszonych epizodów z ich życia.

Wracając jeszcze do kwestii merytorycznych – chwilami można jednak żałować tej wspomnianej nienaukowości, tego że Sapkowski stosunkowo rzadko konfrontuje ze sobą różne teorie i spojrzenia, a jeśli już to robi – to raczej pobieżnie i bez głębszej analizy. A przy tym wspomniane teorie ograniczają się do rzucanych haseł, jako, że jedynym badaczem, którego nazwisko Sapkowski wymienia jest Joseph Campbell. Tekstu nie zaopatrzone też w żadną, najbardziej choćby podstawową bibliografię, która pozwoliłaby czytelnikowi zaspokoić pobudzone książką zainteresowanie – i nie chodzi mi tu nawet o literaturę, z której korzystał sam Sapkowski, a właśnie o jakiś podstawowy zestaw prac pogłębiających temat, coś, co w książkach popularnonaukowych jest w sumie elementem standardowym.

Ale mimo tych wad „Świat Króla Artura” czyta się przyjemnie, szybko i z zainteresowaniem. Sapkowski, urodzony opowiadacz, zupełnie nieźle poradził sobie z syntetyczną prezentacją ogromnego i skomplikowanego materiału, okraszając go przy tym mnóstwem anegdot i mniej znanych faktów historycznych. Przeczytać więc warto, zwłaszcza, jeśli się nie posiada szczególnie szerokiej wiedzy o Arturze i jego czasach – a że jest to jeden z fundamentów kultury europejskiej, wiedzę taką posiadać wypada.

Drugi tekst ze zboru, „Maladie”, to już rzecz z zupełnie innej bajki i innego kalibru. Że Sapkowski jest mistrzem krótkich form wiadomo nie od dziś: wystarczy wspomnieć oba tomy opowiadań wiedźmińskich, wystarczy wspomnieć „Muzykantów”, „Tandaradei”, czy „W leju po bombie”. Ale właśnie - „Tandaradei” - podobnie w tamtej historii, w „Maladie” autor znów sięga do literatury

średniowiecznej, choć w XIX-wiecznej przeróbce. Sięga przy tym w sposób znacznie głębszy i inteligentniejszy.

Akcja obejmuje ostatnie dni bedierowskich „Dziejów...”. Tristan, leżąc już na łożu śmierci, oczekuje na zamku Izoldy o Białych Dłoniach przybycia statku ze swoją ukochaną, Izoldą Złotowłosą. A statek wciąż nie nadpływa... A cała ta sytuacja przedstawiona jest z perspektywy cokolwiek pobocznej – narratorem jest bowiem rycerz Morholt z Irlandii (ten, któremu Tristan rozrąbał w pojedynku czaszkę), w centrum jego relacji pozostaje też Brannwen, służąca Izoldy Złotowłosej. Nie jest to rzecz jasna zabieg zbyt oryginalny, wykorzystany został jednak tak zręcznie i konsekwentnie, że zupełnie zmienił postrzeganie całej historii.

Jakie są więc tego zabiegu konsekwencje? Tristan bezpośrednio pojawia się w opowiadaniu dwukrotnie, za pierwszym i drugim razem tylko na chwilę, Izoldy nie ma tu zaś w ogóle, akcja kończy się, nim wiozący ją statek dobieje do bretońskich brzegów. Oboje są jednak wszechobecni – w tle, w rozmowach głównych bohaterów, a nade wszystko w ponurym nastroju oczekiwania i nieubłaganej nadciągającej tragedii. Oboje – umierający Tristan i kryjąca się za horyzontem Izolda – choć wciąż żywi, przynależą już do jakiejś innej, odległej sfery, są już legendą, opowieścią. Legendą, która wciąż się kształtuje i wzbiera, porywając wszystko na swojej drodze. Trafnie ujmuje to Morholt, mówiąc, że wszyscy inni, których spotkali na swojej drodze kochankowie są jak żółbla trawy na ich płaszczach. Trzeba tu dodać, że owe żółbla potrafią kochać i czuć wcale nie mniej, niż główni aktorzy, co Sapkowski wykorzystuje z bezlitosną konsekwencją.

Nie wspominałem dotąd o jeszcze jednej postaci – Izoldzie o Białych Dłoniach. W odróżnieniu od swojej imienniczki, będącej w „Maladie” właściwie tylko symbolem – bo nawet nie uosobieniem – miłości, żona Tristana jest postacią niezwykle ludzką, i jeszcze bardziej niż u Bediera tragiczną. W niej chyba najbardziej widać niezwykły talent Sapkowskiego do budowania wyrazistych postaci samym tylko nastrojem, urywkami zdarzeń i wypowiedzi – tym bardziej przez to poruszających. I to właśnie w Izoldzie o Białych Dłoniach słowa Morholta odbijają się najpełniej.

Chociaż mimo to jest w tej przejmująco smutnej historii także nadzieja. Sapkowski mimo wszystko zdaje się bowiem wierzyć w człowieka – i w potęgę miłości, miłości prawdziwej i pięknej, która wszystko unieważnia i wszystko usprawiedliwia, takiej, w jaką każdy chciałby wierzyć. Patrzcie, zdaje się mówić autor, dzieje Tristana i Izoldy za ich życia przyniosły przede wszystkim ból, ich samych, a także wielu innych, często tylko przypadkowych światków. Ból i tragiczny koniec. Ale mimo wszystko jest to piękne, i dlatego wciąż o nich pamiętamy. Dlatego mamy legendę.

„Maladie” jest też popisem czysto technicznym, stylistycznym. Znajdziemy tu bowiem w skondensowanej dawce wszystko to, co u Sapkowskiego najlepsze: wyraziste przekazanie emocji, malownicze, zręczne opisy, charakterystyczny, potoczysty styl; ale bez wycieczek w postmodernizm rozumiany jako zabawa z czytelnikiem i konwencją, bez rubaszości i gry ze współczesnością, bez przygodowej akcji, porwań, ucieczek, i znanej z powieści tego autora chronologicznej sieczki. „Maladie” jest rzeczą artystycznie spójną i kompletną.

Czym więc właściwie „Maladie” jest? Historią tragicznej miłości rozdzielonych kochanków? Przypowieścią o ludzkiej naturze i jej rozdarciu między pragmatyzmem i idealizmem? Opowieścią o narodzinach legendy?

Jest tym wszystkim. I nie tylko.

Sapkowski kilkakrotnie zbliżał się do granicy literackiej wybitności – zbliżał się jednak raczej w konkretnych elementach niż całych utworach: w kreacji świata „Muzykantów”, w subtelnej grze uczuciami w „Trochę poświęcenia”, misternej konstrukcji „Czegoś więcej”. Granicę tę przekroczył

jednak tylko raz, ale za to całkowicie i bez kompleksów. W „Maladie” właśnie.

Andrzej Sapkowski
Świat Króla Artura. Maladie.
Wyd. superNowa
Warszawa 1995.

Maladie można przeczytać także na stronie internetowej Autora:

Link

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

koriat, dodano 25.07.2010 10:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.